

camy z nieśmiertelników, przysunięte bliżej brzegu stołu, z widoczną miłością traktowane, przedstawiały: jedną panną Anielę, jako młodą dziewczynkę w krótkiej sukience, druga już w pełni rozwiniętą dziewczynę. Na tej drugiej fotografii stała ona w wielkim kapeluszu na głowie, w bluzce doskonale uwydatniającej jej biust dobrze rozwinięty, w sukni obcisłej ładna, dumna, śmiało w świat patrząca. Jej czerwone wargi o zmysłowym zarysie przypominały doskonale mężczyznę na pierwszej fotografii.

Koło stołu był mały fotelik dobrze wyszarżany, stołeczek pod nogi, zresztą oprócz szafy, kanapki, paru krzeseł, kilku obrazków świętych, nic więcej nie było. Mdły nieco zapach lewandy nappełniał ten pokój cichy, zielonawym odcieniem ogromnej lipy, pod oknem rosnącej, przyćmiony. Rozlegał się w nim nieustanny świergot kanarków, brzęczenie pszczoł na lipie zbierających słodycz, ciche łkanie pani Schmid i szelest sukni panny Anieli, nerwowym krokiem przebiegającej z jednego kąta w drugi.

Miała na sobie jasną, obcisłą sukienkę, uwydatniającą jej dwie piersi, wciętą kibić, szerokie biodra, a za każdym ruchem rysowały się z pod tej wąskiej obsłony jej nogi i kształt całej postaci, doskonale zbudowanej, jak tego zresztą wymagała moda. Była bardzo ładną z purpurowymi, lekko rozchylonymi wargami, znamionującymi żądzę pocałunku męskiego, z oczami czarnymi, roziskrzonymi mocno, zarumieniona, gniewna, biegająca niespokojnie po pokoju, ścigana trwożliwym i zażawionym wejrzeniem matki.

— Więc cóż? — zawołała, zatrzymując się przed tą ostatnią — więc mama nic nie powie, jeżeli się okaże, że ten mój ojciec... ojciec! — dodała z goryczą — nic ani mnie, ani mamie nie zapisał?

— Nic nie powiem, moje dziecko! — odrzekła cicho, lękliwie i z płaczem pani Schmid.

— Jakże to? wszak byłeś jego żoną, a ja jestem jego córką.

Pani Schmid zarumieniła się po same białka oczów, które spuściła i przysłoniła powiekami i szepnęła:

— Ja nie byłam jego żoną!

— Wiem o tem, że nie byłeś jego ślubną żoną, tylko kochanką, nałożnicą, jak mówią głupie męskie przepisy prawne, ale to istoty rzeczy nie zmienia. Dlatego, że zatabaczony ksiądz proboszcz was stułą nie związał, masz tracić swoje prawa, które ci natura dała? Nie! ja na to nie pozwolę, ja jestem jego córką i do mnie należy ten majątek.

— Nie należy do ciebie, Anielko, nie jesteś dzieckiem... jakby to powiedzieć... ślubnem.

Znowu na jej ładnej jeszcze, łagodnej twarzy otyłej blondynki, wykwitł żywy rumieniec i znać było, że rozmowa ta kosztuje ją bardzo wiele, że rani wszystkie jej uczucia. Panna Aniela spojrzała na matkę z pogardą i zawołała:

— Doprawdy, to oszaleć można. Ale skoro mama nie chcesz, to ja się upomnę o ten majątek.

— Anielko, nie zrobisz tego! — zawołała z błagalnym wyrazem, składając pulchne ręce z dołeczkami, jak do modlitwy.

— Dlaczego nie mam zrobić?

— Jeżeli mnie kochasz choć troszeczkę, nie zrobisz tego... nie narazisz mnie na wstyd i mękę... nie! nie! nie!

Wstała, wyciągając przed siebie ręce, jakby odpychała od siebie widmo tego wstydu, który już teraz palił jej twarz rumieńcem płomienistym. Panna Aniela popatrzyła na nią, w jej czarnych oczach iskrzących się gniewem i uniesieniem, zajaśniał jakiś błysk litości nad tą nieszczęśliwą matką, gorejącą od wstydu przed własną córką. Usiadła przy niej i łagodząc swój głos i zniżając go do szeptu nieomal, spytała:

— Czy mama go kochała?

Pani Schmid z wyrazem nieklamane go zdziwienia podniosła oczy na córkę.

— Kogo? — spytała.

— No... tego ojca mego...

Znowu błękitne, zażawione oczy matki pokryły się powiekami, na twarzy wykwitł rumieniec, z bujnie

rozrośniętych piersi wydobyło się ciężkie westchnienie i słowa:

— Dlaczego mię pytasz o to?

— Bo ja sądzę... zdaje mi się, że można oddać się mężczyźnie tylko wtedy, gdy go się kocha gorąco. Przypuszczam więc, że mama kochała, oddając się panu Teodorowi Kozłowskiemu.

Pani Schmid milczała, tylko oczy jej pozostały spuszczone, a z piersi ciągle dobywały się ciężkie westchnienia. Po niejakiem dopiero czasie, po długiem wahaniu się, na nalegania córki, odrzekła, że nie kochała wcale tego, którego przez lat kilka była kochanką.

— To już tego nie rozumiem — zawołała z oburzeniem panna Aniela — jakto! mama go nie kochała, a pomimo tego była jego kochanką? Cóż więc za kobietą jesteś? Byłaś dla niego narzędziem rozkoszy, samica żądną samca, nie dbając o to, kto jest tym samcem i czy na widok jego serce bije uczuciem, czy też tylko zmysły pragną zadość uczynienia. Nie kochałaś go, dlaczego więc mu oddawałaś



Mamy — odrzekł głos gardłowy.

się i to nie raz, nie wypadkiem, ale przez ciąg całych lat?

— Nie pytaj mnie o to Anielko, nie zmuszaj mię rumienić się przed własną córką.

— To są frazesy. Tu niema mowy o wstydzie i rumieńcach. Lecz chcę wiedzieć prawdę. Dlaczego mu się oddawałaś?

— Ja sama nie wiem, dlaczego.

— Opowiedz mi wszystko.

— Co ci mam opowiedzieć? — zawołała z przerażeniem pani Schmid, podnosząc się na krzesło.

— Jakim sposobem zostałaś jego kochanką i dlaczego przez lata byłaś nią, nie kochając go.

— On nie był do kochania — odrzekła pośpiesznie pani Schmid.

— Więc dlaczego byłaś jego nałożnicą?

— Co za wyraz! i to do matki się tak mówi?

— Tu nie idzie o wyraz, ale o rzecz. Skoro go nie kochałaś, skoroś mu się oddała nie z miłości, ale dla innych, mnie nieznanach względów, byłaś prostą nałożnicą... tak, nałożnicą...

Pani Schmid zwróciła się twarzą do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, której groźne oczy zdawały się spoglądać na nią surowo i składając ręce jak do modlitwy, szepnęła:

— Boże, jakże mię ciężko za me grzechy karzesz!

— Tak! — zawołała z szyderstwem w głosie Aniela — najlepiej się odnieść do Bozi, to dużo pomoże. Czemuż cię ten Bozia nie powstrzymał od tego grzechu, bo to grzech był ciężki, grzech przeciw prawom natury oddawać się mężczyźnie, nie kochając go wcale.

Pani Schmid załkała głośno i padając na kolana przy łóżku, szepnęła:

— Ciężką mi Boże zadajesz pokutę, ale zasłużoną, tak zasłużoną. Niech się dzieje Twoja, nie moja wola.

Panna Aniela spojrzała na tę schyloną, kającą się swych grzechów, wstrząsaną łkaniem postać i uczuła głęboki żal w duszy. Bądź co bądź to jej matka, która miała ją w swem łonie, własną pierś wykarmiła, pieściła, chroniła i kochała gorąco. Szepnęła ona:

— Wstań mamó i jeżeli jest wina po twej stronie, ja cię z niej rozgrzeszam. Ale skoro byłaś kochanką mego ojca, bez udziału uczucia w tym stosunku, skoro może padłaś ofiarą osamotnienia, jagnięcego charakteru, zabiegów niegodnego samca, skoro szalenie pozostawił w mej osobie owoc tego stosunku, to niech on zapłaci za to, niech spadkobiercy, jeżeli w testamencie nie będzie o nas wzmianki, to uczynią, inaczej zrobimy, ty i ja, skandal, głośny skandal.

— Ja tego nie zrobię! — odrzekła stanowczo pani Schmid.

— Dlaczego?

Wyprostowała się i z rezygnacją i uporem dusz miękkich i słabych mówiła:

— Dlatego, że zgrzeszyłam, że zasłużyłam na piekło, że powinnam pokutować w ciszy i pokutować będę.

— A czy ty wiesz, że sukcesorowie mogą cię stąd jutro wypędzić?

— Niech wypędzą! Zasłużyłam na to.

— Wszak jesteś biedna, nawet stu złotych własnych nie posiadasz.

— To prawda, że nie posiadam.

— Więc czeka cię nędza.

— Wiem o tem... ale zasłużyłam na wszelką, choćby najokrutniejszą karę i dla zbawienia mej grzesznej duszy, chętnie ją poniosę.

— Co za głupstwa! co za księżę urojenia! Ale ja nie chcę nędzy, ja chcę żyć i życia użyć!

Pani Schmid usiadła znowu z wyrazem zmęczenia i wyczerpania. Białe ręce opuściła niedbale, głowę oparła o poręcz fotelu, oczy przymknęła i spoczywała tak przez chwilę nic nie mówiąc, wyczerpana do dna przez tę rozmowę. Panna Aniela znów poczęła w rozdrażnieniu biegać po pokoju, odgrażać się skandalem, wołać, że ten majątek jest jej majątkiem, ten dom, ta wieś, te sumy bająnskie, które chce rozdrapać ta hołota, co się tu zjechała, do niej i tylko do niej należą i ona ich sobie wydrzeć nie da. Pani Schmid ścigała wzrokiem pełnym smutku, biegającą po pokoju córkę i wreszcie, gdy ta zmęczona, wzburzona, na chwilę zatrzymała się, spytała łagodnie:

— Anielko, na co tobie tyle pieniędzy?

— Na co? i mama się o to pyta? czyż nie wiesz, że ja jestem kobietą czynu, społecniczką, ja nie chcę żyć jak inne gęsi mojej płci, czekające na samca. Nie! ja chcę działać, pracować, pójść między lud, między proletaryat, uczyć go, przekonać go, że jest olbrzymem spętany, że świat i przyszłość do niego należy.

Mówiła to wszystko głosem podniesionym z okiem błyszczącym ogniem zapалу i w tym entuzjazyzmie swoim dla ulubionych idei, była naprawdę ładną z żywym rumieńcem na twarzy i jedrną pierśią falującą pod jasną bluzką. Pani Schmid złożywszy swe pulchne z dołeczkami ręczki na zaokrąglonym brzuszku, patrzyła z pewnego rodzaju dumą i zachwytem na swą córkę tak mądrą, że ona nic a nic z tego nie rozumiała, co Anielka mówi, ale co właśnie świadczy, że Anielka jest mocno uczoną i niezwykle mądrą panną.

(Ciąg dalszy nastąpi).